

"Pięć róż dla Jennifer" a dla Tchórzelskiego cały koszt!

Dramat Annibale Ruccello "Pięć róż dla Jennifer" na polską scenę trafił z ponad trzydziestoletnim poślizgiem, gdy po długim ugruntowywaniu przemian ustrojowych wreszcie i tu zaczęto głośno mówić na tematy genderowe, queerowe.

Jennifer mieszka w specjalnie budowanej dla transwestytów dzielnicy. Nowopowstające getto ma własne instalacje, centralę telefoniczną, radiostację, dzięki której mieszkańcy mogą rozmawiać o swoich problemach. Ale to wcale nie komfort. Bo w efekcie są jeszcze bardziej odcięci od reszty świata. Niesprawna centrala, uniemożliwia prawidłową komunikację, jest przyczyną wielu nieprzyjemnych a nawet tragicznych pomyłek, zaś radio i częste wyłączenia energii elektrycznej wpędzają niekiedy mieszkańców w śmiertelną panikę.

Bohaterka pracuje jako portowa dziwka, ale wracając do domu, przeistacza się w zadbaną i w swoim mniemaniu, elegancką kobietę. Ale choć stara się naśladować wzorce zaobserwowane gdzieś na kinowym ekranie, nie do końca daje sobie z tą elegancją radę. Bywa trochę nieporadna, zagubiona. Zamyka się szczelnie w tym swoim sztucznym świecie.

W obawie przed zdemaskowaniem? Czy przed grasującym po getcie i mordującym transwestytów zabójcą, o którego kolejnych ofiarach donosi co chwilę osiedlowa rozgłośnia? No bo przecież nie w oczekiwaniu na telefon Franca, inżyniera z Genui, z którym przed trzema miesiącami spędziła jedną noc? Zresztą czy ów Franco w ogóle istnieje? Ramka na jego zdjęcie jest ciągle jeszcze pusta. Czy poważnie można traktować opowieści o problemach ginekologicznych, o których Jennifer opowiada Annie? Ich rozmowa na pierwszy rzut oka przypomina dziecięcą zabawę w kogoś, kim się nie jest.

Tekst Annibale Ruccello przeczytałam z zainteresowaniem ze względu na fabułę. A zwłaszcza jej wątek kryminalny. Ale nie zaufałam postaciom. Nie poczułam ich. Dopiero, wspanała kreacja Pawła Tchórzelskiego, a także sceniczne wcielenia Anny, Anuncjaty, Soni pozwoliły mi w pełni zrozumieć tych ludzi i to, co autor chciał za pośrednictwem swoich bohaterów społeczeństwu powiedzieć, a przede wszystkim autentycznie bardzo polubić postać głównej bohaterki. Bo już od pierwszych scen Jennifer budzi sympatię widzów.

Tchórzelski gra transwestytę dalekiego od wizerunku, do jakiego przywykliśmy za sprawą telewizyjnych migawek z parad miłości. Jego Jennifer jest postacią bardzo głęboką, psychicznie złożoną. Piękną wewnątrz, wrażliwą, trochę złośliwą, ale przede wszystkim

bardzo spragnioną miłości, naprawdę tęskniącą do tego jedyne, wysnionego, wymarzonego mężczyzny. Aktor wygląda i zachowuje się jak prawdziwa kobieta. Tylko w momentach wielkiego zdenerwowania czy desperacji jego ruchy stają się nieco mniej płynne, mniej delikatne.

Artysta przepięknie buduje wewnętrzne napięcie postaci, narastanie rozpacz, wreszcie kompletne załamanie prowadzące do samobójstwa. Ale nie jest to bynajmniej jakiegoś jednostajne narastanie emocji, lecz przeplatane przebłyskami nadziei, ironii, gorzkiego humoru

Dzięki misternej interpretacji Tchórzelskiego zrozumiałam też, że ów seryjny morderca, którym straszy radio nie istnieje, a sami transwestyci, nie mogąc udźwignąć ciężaru samotności i alienacji po prostu popełniają samobójstwa. Według jednego schematu. Strzałem w usta, z różami w ręce. Czerwone róże, które symbolizują miłość, dla nich stają się znakiem śmierci. Na uczucia drugiej osoby liczyć bowiem nie mogą.

Są i tacy, jak Anna, którzy uciekają w religię, brak miłości ze strony człowieka zastępują miłością zwierzątka. Ale to nie wystarcza, bo i Anna, podobnie, jak Jennifer czeka na telefon, choć w głębi duszy wie, że nie ma na co. Bo tak, jak do Jennifer, tak i do niej nikt, nie licząc prześladowców, nigdy nie zadzwoni. Samotność przygania ją do Jennifer, by wspólnie konfabulować o kobiecych problemach i dolegliwościach. Ale i tę namiastkę szczęścia ktoś jej brutalnie burzy, w bestialski sposób mordując ukochanego kotka. W roli Anny oglądamy Jarosława Felczykowskiego. Jego ogromna postać i stylizacja na początku budzą śmiech. Także poprzez skojarzenia z wizerunkiem pewnej znanej z mediów osoby transseksualnej. Potem jednak i w tej postaci dostrzegamy tragizm.

Reżyser spektaklu personifikuje na scenie również głosy; spikera radiowego i jego interlokutora. W te postaci wcielają się Małgorzata Abramowicz, jako wyluzowana, zdystansowana do problemów słuchaczek dziennikarka i Anna Romanowicz-Kozanecka - jako Transwestyta, a dokładnie dwaj transwestyci: Anuncjata i Sonia. Choć to postaci składające się na symbol samotnego odmieńca, ubrane w ten sam kostium, Kozanecka gra je zupełnie innymi środkami, na różnych rejestrach głosu, odrębnych używając miejsc artykulacji, inną posługując się melodią zdań. Wspólna jest tylko samotność obu postaci. Dzięki tym zabiegom symbol staje się bardziej wiarygodny.

To świetny aktorsko spektakl. A w Jennifer można się nawet zakochać

""Pięć róż dla Jennifer" a dla Tchórzelskiego cały koszt!"

Anita Nowak

Teatr dla Was

28-01-2013